MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Rok II. Warszawa, 27 Stycznia 1922 r. Nr. 4.



Cena numeru 40 mk.

ZWARJOWANY KRÄHWINKEL.

Wylęgarnia Gagatków i Kanarków, stolica Piastów i Popielów, azylum Hoesików i Haeckerów, brudny, błotny, obszarpany, niemyty, niesprzątany, niezamiatany, nieprzewietrzany, ciemny, ciasny, cichy, nudny, trywialny a pretensjonalny, chory przewlekle na niestrawność, rozstrój żołądków i puchlinę wątroby, pełen fałszywych ambicji, nieuzasadnionych pretensji i napęczniały swą wielkością, jednem słowem Kraków dzisiejszy dostał w ostatnich czasach znowu udaru mózgowego i ataku wielgomanji prześladowczej.

Te pokraczne Krähwinklery, jakby wycięte z karykatur Vebera i Pasczina absolutnie nie chcą się zgodzić na zdegradowanie Krakowa do rzędu prowincjonalnych miasteczek, o których się nie mówi, lub mało mówi, ale dufne w protekje Warszawy stają na szczudłach, puszą się, nadymają, krzyczą, wrzeszczą, ważniczynią się, byle o nich było głośno, byle o nich nie zapomniano, byle ich nie spostponowano. Mają Wawel i Uniwersytet Jagielloński, dwa kwiaty przypięte do kożucha, dwa sanctuaria do koła których pełzające karle rojowisko

obrzydliwego pigmejstwa parafjalnego, źle odżywianego, nie wykąpanego, skrofulicznego, wybladłego z rachitycznymi odnożami przednimi i tylnymi.

A w tem zatęchłem, pretensjonalnem mieścisku dwa pisma szczególnie rozjadłe w swej ambicji, a w tych dwóch pismach dwa typy specjalnie buńczuczne, rogate, pewne siebie, przepojone partykularną ambicją, dwa typy, które sobie zaprzysięgły, że Pokrakowowi jako duchowej stolicy polskiej zginąć nie dadzą, że kolebkę N. K. N. i „Bociana" znów postawią na nogi, a jak dobrze pójdzie stworzą dwa legjony: Krowodżański i Kleparski, pomaszerują na Warszawę, obalą rząd dyletancki, przeniosą stolicę do Krakowa, wyciągną Stefana ze Saybusza, ogłoszą go królem, przejdą Wisłę i przejdą Wartę czeską, połączą się z Austrją, z Węgrami i wszystkie już wszystkie posady poobsadzają echt-Krakauerami.

Te dwa typy to Estreicher z „Czasu" i Dąbrowski z „Kurjerka".

Wspólny im tylko wielki i zachłanny patrjotyzm lokalny. Zresztą różnią się we wszystkiem. Pierwszy gentleman, wątły, nobliwy, uczony; drugi chevalier d'industrie, opasły, ordynarny i ignorant. Pierwszy etyk, omal Kwaker czy presbyterjanin, privatdozent aus Heidelberg; drugi moral in-semity, spekulant na sensacji i pornografii, schieber w typie bukareszt-budapesztenskich, osobnik poza dobrem i złem. Pierwszy—postać dla inwencyjnego powieściopisarza, drugi okaz raczej dla policyjnego komisarza interesujący, czy dla psychopatologa. Wspólny im tylko fanatyczny szowinizm krakowski. Pierwszy—asceta polityczny, człowiek czystych rąk i czystych patrjotycznych intencji, drugi—rybak ze wszystkich mętnych i cuchnących stawów złote rybki wyławiający, dziś Krezus powojenny, drugi Fryze, z hołysza i naciągacza kamienicznik, trustowiec, potentat. Wspólna im tylko wprost bezgraniczna i obłędna wzgarda do ententofilskiej, francuskiej, szerokoulicznej, jasno-oświetlonej, dobrze „luftowanej" Warszawy i jakaś wprost chorowita ze skrufolozy wywodząca się ślepa wiara w wielkie posłannictwo i wielką misję nie dokąpanych Krakauerów.

Zdyskredytować Warszawę za każdą cenę i w każdym wypadku, a wywyższyć każdego Krakauera choćby z Liszek, z Dopczyc lub z Myślenic rodem, oto cel profesora z „Czasu" i kombinatora z „Kurjerka". Oczywiście każdy do tego celu zmierza innymi drogami, profesor correct, pompatycznie, ideowo zjednując dla „Czasu" od czasu do czasu intellektualne tury, dopingując starców i galwanizując znakomitych ramolów, trzymając za poły Boya, elektryzując Beauprzaka, europeizując Sinkę; p. Dąbrowski zaś w swojej rynsztokówce ujadając aż do zachrypnięcia na Warszawę i przepłacając złotem za w tym sensie wypłuczyny feljetonowe bezdennie ordynarne „estety" Mandze i beselerowskiego rittmajstra Kossaka.

Ostatnio i p. Estreicher w „Czasie” i p. Dąbrowski w swym trotuarniku zdobywają się na najwyższą energię aby tylko na Krähwinkel pod Wawelem znów zwrócić uwagę. Nad metodami „posła” nie będziemy się długo zastanawiali.

Jest to coś tak niepoczytalnego, coś tak wyłącznie dla satysfakcji brudnych wilgotnych lepkich knajp krakowskich i ich kaprawej klienteli „aus dem dunkelsten Galizien”, coś tak wyłącznie na gust obskurnego mobu z drobnych dziur zachodnio galicyjskich wyspekulowanego, że zatrzymywać uwagę czytelnika dłużej nad otworem tego cuchnącego Dąbrowskiego kanału niema się litości. *Guarda e passa*. W każdym razie szmok plugawy z wideńską politurą wie czem dogodzić wiwatującej ongiś Kuckom, Huynom i Wilhelmom hałastrze z grodu Piastów i Bisanców, Drobnerów i Misiołków! Czerwone kołtuny i enkaenłyki a la Klemensiewicz, padamdonóżkujące i całujerączkujące zacierają wprost ręce i nogi przy lekturze tych plugastw i plwocin na postument posągu wolności, jakim w dziejach Polski zawsze pozostanie Warszawa.

Inne metody ma oczywiście „Czas“ zabawny Jowialski który pod wpływem naszych inwektyw wziął się paniedzieju na pazury, kazał sobie wypucować „szluzrok“ i cylinder i stąpa starowina bardzo energicznie, bohatersko walcząc z podagrą. Ankiety za ankietami. Felejtony o foxtrotach i futurystach. Zawsze z ostatnimi prądami. Zawsze au courrent. Znów ankieta. Wreszcie coś już bardzo efektownego. Sędziwy Bobrzyński jak Piotr z Amiens wyłazi na estradę i wzywa naród do stworzenia „Stronnictwa Metody i Organizacji“ czy „Bloku Rutyny i Kompetencji“. Coś paniedzieju na wielką skałę... I znów my górą! Zawsze lux ex Cracovia! Zawsze co Czas to czas to pieniądz. Nie starzejemy się.. Warszawa Warszawą oczywiście analfabetów i szebeków z domowym wykształceniem... a my panie kwintessencja, sam mózg narodu, metternichy w każdym calu, po Torysach londyńskich najgienjalniejsza grupa mężów stanu, dziedzicznie dyplomatycznym szóstym zmysłem obciążonych! Rosner Lelum Estreicher Polelum... taki panie Paweł Sapieha albo taki panie Marjan Zdziechowski... albo taki Włodzimierz Tetmajer.., „Warszawistom“ oczywiście może się wydawać, że to mózgi rozmiękczone.. Prawda?... A jednakże posłuchajmy jak twardo obstaje przy Krakowie taki mąż stanu i Czasowy statysta nie od parady:

„Póki Rząd Rzeczypospolitej z Piastowym czy Jagiellońskim królem z góry Wawelskiej kierował nawą państwową póki *wytrawni a genialni politycy małopolscy* snuli przez pokolenia jasne a do dalekich i wielkich celów prowadzące wątki myśli państwowej polskiej, póki przechowywane w skarbcu korony wkładano na głowy Kazimierzów, Władysławów i Stefanów (ze Żywca?) tak długo rosła Polska jako cywilizowane Europejskie Mocarstwo. tak długo nad Jej głową jaśniała gwiazda wielkich i dalekonośnych politycznych zamierzeń i uświadomionego posłannictwa dziejowego”.

„Dalekonośne zamierzenia“! masz panie Włodzimierzu! I pana „Estreichera“ także daleko ponosi ambicja i imaginacja! Najwyższy „Czas“ abyście się oswoili z tem, że Warszawa stolica a Kraków to „Kräkwinkel“, „małe śmieszne i pretensjonalne miasteczko“ jak mówi Wyspiański, już tylko stacja na drodze do Tatr, Zakopanego i... Poronina.... Szczawnicy.... O...

Adolf Nowaczyński.

OFENZYWA DRUCIARSKA.

Równocześnie dwa pisma warszawskie, stołeczne, a więc poczuwające się chyba do odpowiedzialności zamieściły duże odpowiedzi polemizujące z artykułem p. J. Kurnatowskiego w sprawie Słowaczyzny. W Kurjerze warszawskim polemizuje z p. Kurnat. p. Franc. Jehliczka „profesor Uniwersytetu Warszawskiego“, a dr. Fr. Unger redaktor Słowaka no i wiceprezydent rządu „Niepodległej Słowaczyzny“ (sic.) zamieszcza odpowiedź p. Kur. w belwederskim Kanale Porannym. Pendant do tego w Pradze w żydowskiej „Trybunie” i w socjalistycznym „Prawie Ludu” w zeszłych tygodniach listy i artykuły rozmaitych Litwinów, Białorusinów „i zachodnich Ukraińców”, skarżące się na zaborczość, ucisk, tyranię i wojskowe okrucieństwo polskie... Równocześnie w Krakowskim „Czasie” w tej studni zatrutej wszystkich złych, szkodliwych, przewrotnych i trujących ideii politycznych jakaś ankieta madziarskich magnatów i prałatów, tych samych, ktorzy ongiś Mackensenowi ofiarowali „złotą szablę” wywodzących gorzkie żale z powodu zbliżenia czesko-polskiego.....

Jak długo będzie trwał ten stan rozjudzenia, jak długo nad Wełtawą będzie się protegowało uniwersytety ukraińskie a na uniwersytet warszawski w rewanżu zapraszało Divekych i Jehliczków? Jak długo w pewnej prasie polskiej będzie się jeszcze maglowało bzdurę o wspólnej granicy polsko-węgierskiej, o tysiącletniej przyjaźni z Madziarami, gaworzyło o Jaworzynie i bredziło o niepodległości i wyzwoleniu Słowaczyzny?

Giez w mózgu z Ukrainą samostijną już wyleczony. Po ostatniej listopadowej jeszcze jednej próbce maszerowania pod Kijów z Tiutiunikiem i Hołyj-Hulajem nastąpiło już definitywnie wykurowanie z tej wernychoroby. Petlura zajęty jest obecnie organizowaniem orkiestry bałałajkowcj z którą ma wyjechać na tournée po Europie. Za chorobliwe żądze światowej sławki wielkiego stratega, i rozbijacza Sowietów i fundatora państewek Polska płaci utratą: Gdańska, Cieszyna, Mazurów i kilku powiatów Górnośląskich, a zyskuje renomę imperjalistycznej, zaborczej, niespokojnej i militarystycznej... w perspektywie dalszej linji Curzona. W każdym jednak razie Skoropajdakratyczny okres wypraw Pizarra za Dniepr już się skończył.

Jeszcze natomiast nieskończyła się bzdura państwa Słowackiego. Jeszcze półoficjalny organ Naczelnika Piłsudskiego

ma czelność drukować chłopską prymitywną prozą pisane effuzje jakiegoś pokątnego belfra z Rozemberka, obywatela, a więc zdrajcy stanu państwa czesko-słowackiego a ta niejasna postać „redaktor Słowaka" ma tupet mianować siebie „wiceprezesem Rządu Niepodległej Słowaczyzny". Gdzie jest ta niepodległa Słowaczyzna? Na jakim księżycu? Na mapach Europy po Traktacie wersalskim takiego tworu niema. Albo więc ten trakrat, któremu wszystko zawdzięczamy szanujemy albo go jak Prusacy uważamy za fetzen-papier i rozpoczniemy znów skrycie i po konspiratorsku walkę o niepodległość Słowaczyzny, a potem „anneksion der Befreiten" i wspólna granica z ukochanymi bratankami Madziarami...

Szczep słowiański Słowaków liczy nie żadne 3 miliony, a 1.778.000 , a licząc już bardzo przesadnie, wedle innych źródeł 1.944.000. W samej Słowaczyznie Słowaków jest 86%, 665.000 Węgrów, reszta Niemcy i Rusiny. Jest to szczep pastersko-chłopsko-druciarski. Jedyną inteligencję w nim w liczbie maxymalnie 20.000 stanowią rozhukani politycznie księża, pastorzy, suplenci gimnazjalni, aptekarze, weterynarze i t. p. Całe samopoczucie pewnej szczepowej odrębności zawdzięcza Slovenstwo wyłącznie i bez reszty tylko Czechom.

Tylko Czesi od lat trzydziestu, czterdziestu ich poczucie szczepowe rozbudzili, tylko Czechom zawdzięczają oni to pierwsze stadjum kultury w jakiem obecnie się znajdują, ale które jeszcze nie kwalifikuje ich w żadnej mierze do budownictwa własnej państwowości. Jak druciarz nie może z dnia na dzień zostać monterem elektrotechnicznym przy zakładaniu stacji telegrafu bez drutu, tak Slovenstwo nawet przy pomocy „Czasu" i „Naprzodu", Tarnowskich i Daszyńskich, madziarofilskich publicystów, J. Dąbrowskiego i Gutowskiego, ba nawet z pomocą deliranta politycznego prof. M. Zdziechowskiego nie mogłoby skonstruować nie już jakiejś państwowej budowy ale wprost jakiegoś autonomicznego rusztowania. Słowacy to jeszcze rudis indigestaque moles, tkwiąca w pierwszem stadjum cywilizacyjnem, nadto materjał etniczny, bierny, passywny, miękki, typowo słowiański, który gdyby nie zorganizowana przez Szkotów Słowiańszczyzny Czechów propaganda uświadamiająca już byliby doszczętnie zmadjaryzowani. Budapeszt roji się od takich renegatów Słowaczyzny, a przytulony w Warszawie od czasu wkroczenia tu prusaków dr. Adorjan Diveky jest dla nas naocznym przykładem takiego zmadjaryzowanego aż do fanatyzmu właśnie rodowitego Słowaka.

Niepodległość Słowaczyzny jest to więc „humbug", o którym nie godzi się ni zajmować ni drażnić nim naszych aljantów czeskich, skwapliwie odpłacających nam zaraz za to ukraińskimi karbowańcami. Niepodległościowym ruchem takich drobroustrojów szczepowych mogą się entuzjazmować tylko romantyczni studenci zapalający się do samego terminu: niepodległość bez względu na to, czy ten termin wiąże się z takim

surogatami szczepowymi jak Słowacja, Białoruś, Ukraina i t. p. Był czas, kiedy tą bzdurą polityczną zajmowano się u nas na serjo con amore t. j. rok 1919. Agitacja za niepodległością słowacką szła z dwóch źródeł jednakowo mętnych.

Arystokracja madziarońska, która ma olbrzymie dobra na Słowaczyźnie (Palffy, Csaky, Zichy, Andrassy, Apponyi, Windischgraetz, Hohenlohe, Hunyady) za pośrednictwem ustosunkowanego w Polsce clubmena hr. Csekonitsa działała w tym kierunku na krakowski „Czas“, który, jak na takiego staruszka, zgoła po hołowkowatemu rozpalił się do irredenty druciarskiej.

W Warszawie rozpalili się do tego pomysłu wszyscy germanofile, ronikerniki, turyści budapeszteńscy z czasów okupacji, rozmaite młodzieniaszki belwederskie oraz Ignacy Loyola Daszyński. W hotelu Victorja Nr. 7 urządzono główną kwaterę słowacką. Zwało się to Słowacką Radą Narodową. Jakiś pan Dworczak, osobnik przed którym ostrzegali i ks. Machay i p. Gwiżdż (znawcy stosunków na Słowaczyźnie) grasował po ministerjach, redakcjach i po Sejmie, w którym na jakiemś posiedzeniu jakiś krakauerski Filip z Konopi ryknął sobie nawet: Niech żyje Słowaczyzna! Obecny „profesor Uniwersytetu” Jehliczka (wykluczony ze swego Stronnictwa Ludowego 2 L. 1920 r.) jeździł wtedy za polskimi paszportami do Paryża, dokąd zresztą wysłał też jenerał Horthy swego adjutanta jen. Langa z owym niepodległym Słowakiem Dworczakiem, aby tam „skarżył się” na ucisk czeski. W Paryżu słowackich megalomanów przyjęto lodowato i odprawiono z kwitkiem. Ten sam p. Dworczak wysyłał potem (4 Sierpień 1919) telegramy do arcyksięcia Józefa, że Słowaczyzna chce wracać do Węgier pod berło Habsburgów. Jakiś prowincjonalny pleban ks. Margorin drukował w gazetach warszawskich sążniste memorjały a inny księżulo ks. Mnohel wraz z redaktorem Ungerem wykładali posłom w Sejmie o konieczności proklamowania państwa słowackiego i zdołali zaskarbić sobie protekcję kilku bismarkaczoskich łepetyn, ba, nawet samego Jasia Dąbskiego! Nawet towarzysz Perl godził się już z białogwardyjskimi Madziarami byle tylko na przekór Czechom pomódz w emancypowaniu się Bogu ducha winnym pasterskim Słowakom.

W Zakopanem, które grało wówczas rolę Piemontu Słowackiego szykowała się nowa d'Annunziada z Daszyńskim, jako głównowierchem. Jednem słowem, tymi stosunkami i konszachtami z grupą renegatów i zdrajców stanu czesko-słowackich skompromitowaliśmy się co się wlezie. Agitacja niepodległościowców bowiem z jednej strony subwencjonowaną była przez czysto madziaronski „Instytut Orientalny“ w Budapeszcie (wydający pismo Slovensky Narod, z drugiej zaś strony była koncepcją czysto bolszewicką Beli Kuhna, Alojzego Muny i delegata Sowietów w Pradze Gillersohna, który podsycał ruch komunistyczny i separatystyczny w Słowacji niezależnie od takiej

samej późniejszej akcji jenerała Friedricha, wieszającego komunistów u siebie, ale... protegującego ich finansowo w Słowacji

Z naszej strony patronowanie Dworczakom i Ungerom na benefis Madziarski miało jeszcze jakiś sens minimalny w epoce zadrażnienia stosunków z Czechami i przed konwencją z Rumunją, która jeszcze z większą od Czechów nieufnością traktowała tę polską przekorną zabawę w wyzwalanie Słowacji. Tu przydać jeszcze trzeba, że prasa słowacka tempore belli z Sowietami 1920 cała, t. j. i luterańska i katolicka stała po stronie inwazji, wymyślała na nas co się zowie, wyrażeła nadzieję posiadania wspólnej granicy z matuszką Rosją i najzacieklej sprzeciwiała się oddaniu Czaczy, Spiża i t. d.; ci sami zaś niepodległościowcy słowaccy, którzy w Warszawie tak się łasili do suwerennych analfabetów, wydawali tu swoje memorjały i wysyłali do Naczelnika za Kijów hołdownicze telegramy (prof. Jehliczka, nagrodzony za telegram katedrą), ci sami w każdym razie przyjaciele ich polityczni na Słowaczyźnie prowadzą forsowne słowaczenie 180.000 tam mieszkających od wieków polskich górali. Wśród pięciu stronnictw politycznych na Słowaczyźnie żrących się zresztą ze sobą, niema obecnie ani jednego wybitnie polonofilskiego. Ostatni redaktor „Ludowych Nowin“ p. Tomanek za swoją zacną zresztą polonofilską agitacją poszedł do więzienia.

W obecnym momencie i Anglja i Francja domagają się od nas ścisłego zespolenia się z Małą Ententą. Świeżo pisał „Dailly Telegraph“ (19 st. 1922):

„Polska ludność o tyle, o ile dotyczy ona anglo-francuskiego paktu, może być pokonana albo ominięta — w Genui — przez konsolidację węzłów Polski z wszystkiemi państwami Małej Ententy i przez rozszerzenie systemu Małej Ententy na wzajemne gwarancje w celu ustrzeżenia się zarówno przeciw niemieckiemu, jak węgierskiemu i bułgarskiemu atakowi. Zawsze przytem byłoby możliwe dla Wielkiej Brytanji i Francji porozumieć się na wypadek niemieckiej groźby przeciw Polsce co do tego, jak angielsko-francuski punkt ma być rekonstruowany w tej okoliczności. Poza to angielska opinja nie zgodzi się pójść. Stanowczo uchyli się od stawiania na polskie imponderabilia. Zważywszy na szybkość z jaką anglo-belgijski pakt został załatwiony, pakt pomiędzy Anglją i Francją, przy wzajemnej szczerości i dobrej woli, powinien być faktem dokonanym na długo przed otwarciem Konferencji Genueńskiej“.

Tego samego domaga się od nas i reszta życzliwej nam prasy angielskiej i cała francuska. Rumunję nasze nieuleczalne amory z Madziarami, podsycane ciągle przez c. k. Kraków, Metternichów z „Czasu“ i Dorotkę Kłuszyńską w Regerskim „Naprzodzie“, Rumunję, związaną mocno z Czechami ta chroniczna polska inklinacja do gularzu i Hunyady—Lajos niecierpliwi i irytuje w najwyższyn stopniu.

Drukowanie w pismach stołecznych druciarskich artykułów renegatów słowackich, i zdrajców stanu Czechosłowacji a la oberleutnant Adorian, prof. Jehliczka lub „wiceprezydent“ Rady (?) Unger, jest sabotowaniem układu z Czechami, drażnieniem Rumunji, bagatelizowaniem naszych przyjaciół w Ententcie i rzucaniem kłód ciężkich pod nogi borykającego się z izolowaną sytuacją obecną Polski.. p. Skirmunta“

Najlżejsze nawet protegowanie jakiegoś bzika własno-państwowego Słowaków jest już przeszkodą na drodze do „god cordial understandig” z Czechami. Panów Jehliczkę i Ungera należałoby odesłać do Bratysławji, proponując Czechom równocześnie likwidację uniwersytetu ukraińskiego i wypędzenie z Pragi „jaczejek“ malkontentów z narodów „uciskanych przez Polskę“. Epoka bałkanizowania Europy, tak potworna w swych skrajnych konsekwencjach już się bezwzględnie kończy. Małe państwa muszą się łączyć w wielkie trusty i ententy... Koncepcja zaś glinianego garnka słowackiego raz rozbita, zdrutować się już nie da.

Słowacja jako odrębne państwo to idea godna Tumora Mózgowicza Hołówki z epoki ogólnego bezhołowia.

A. Nowaczyński.

TROCHĘ GORYCZY.

Jeźli prawdą jest, że „kto nie zaznał goryczy ni razu, ten nie zazna słodyczy w niebie", trzeba nam dorzucać do strawy duchowej źdźbło goryczy, by nie popaść w kwietyzm, w optymizm strusi, w autoadorację jaknajfatalniejszą w skutkach—by nietylko w niebie odebrać nagrodę, ale na ziemi przyczyniać się do poprawy warunków bytowania.

Takim bodźcem do samopoznania i podjęcia wysiłków sanacyjnych było małe źwierciadło stosunków państwowo-urzędniczych w Warszawie, jakie na wyjezdnem od nas zostawił mi pewien Anglik — nie jeden z tych przelotnych ptaków, co odwiedzają nas niekiedy i żegnają z konwencjonalnym komplementem na ustach, lecz dawny obywatel Warszawy, który zjadł z nami niejedną beczkę soli za czasów moskiewskich, mówi po polsku jak Polak, pozostawił nad Wisłą kawał życia i — serca. A więc szczery przyjaciel, Polskę za drugą ojczyznę poczytujący.

Przez czas wojny przykuty do Anglji, przybył niedawno do Warszawy, by odwiedzić ukochane miasto i rozejrzeć się w wolnej, niepodległej Polsce.

— Jakie ostatecznie wywozisz wrażenia?—spytałem go.

— Trudno przebrnąć przez chaos impresji tysiącznych, drobiazgowych, trywialnych... Trudno wycisnąć z nich kwintesencję, skrystalizować wszystko w syntezę, zamknąć wraże-

nia w jednem zdaniu. Ale spróbuję... Otóż Polska przywodzi mi na myśl piękne, drogocenne i wielce kunsztownie złożone cacko, coś w rodzaju modelu kolei żelaznej, jaką dzieci puszczają na podłodze. Taką to kolej otrzymali teraz Polacy i nie bardzo wiedzą, jak się z tem obchodzić, a nie chcą dopuścić doświadczonych ludzi i nauczyć się od nich. Z rozkoszą pędzą pociągiem, zażywają przejażdżki. Jedni z rękoma splecionemi na brzuchu oddają się bez myśli i troski nieznanej przyjemności, drudzy, osobniki aktywnej natury i ambicją podniecone pragną zająć miejsce kierowników parowozu lub przynajmniej konduktorów czy strażaków. Skutkiem tego następuje natłok, rozpychanie się łokciami, swary i kłótnie. Tymczasem wszyscy ci, którym udało się dostać na parowóz, chwytają co mają pod ręką, i rzucają na ogień jako paliwo, by pociąg pędził jaknajszybciej, przyczem zapominają, że machina wymaga specyficznego gatunku paliwa. Każdy z tego grona na parowozie bawi się czy to śrubą czy kurkiem czy czem innem przy machinie, nie rozumiejąc dobrze do czego ten przedmiot służy a wszyscy społem zapominają o wentylacji lub o napełnieniu kotła wodą. Niewielu tylko zdaje sobie sprawę, że musi to doprowadzić do katastrofy. Jeżeli zaś na to zwracają uwagę kolegom, ludzie zakrzyczą ich lub odsuną na bok... Być może, obraz ten wyda ci się nieco karykaturalnym.

— Miejsza o to czy karykaturalnym czy nie —odparłem — ale nie zupełnie prawdziwym.

— Weź ołówek i popraw go, patrząc na rzeczy z całkiem objektywnego stanowiska rzekł Mister Gurney.

— Niewątpliwie dorwało się do parowozu wielu ambitnych a nieskrupulatnych lekkoduchów, którzy na serjo powtarzają za Niemcami zdanie, że „komu Bóg daje urząd, daje także rozum". W tem przekonaniu bawią się urzędowaniem, nie znosząc obok siebie osobników mędrszych, doświadczonych, którzy mogliby ich zaćmić, nieuctwo ich zdemaskować i w kozi róg zapędzić. A niestety w pewnych gałęziach machiny państwowej tak się rzeczy zaraz z początku ułożyły, że faworyzowano i forytowano na wysokie stanowiska ryzykantów, pohopnych do eksperymentowania na skórze Polski. Klucz partyjny, osobiste sympatje, byzantynizm grały w tem wielką rolę. Ale w ostatnich czasach znaleźli się na parowozie także ludzie innego autoramentu —ludzie, zadowoleni, że dostali się na miejsca uprzywilejowane, lękają się jednak posługiwać śrubami, które mają w ręku, lękają się... klapy, wiszącej zawsze nad niemi niby miecz Damoklesa.

— To tłumaczy wiele podjął p. G. — Brak dobrej woli, patrjotyzmu.... A od Polaków można było oczekiwać, że wezmą sobie do serca doświadczenia ubiegłych 150 lat i starać się będą uuiknąć dawnych błędów, pracując dzień i noc nad zbu-

dowaniem solidnych podstaw swego nowopowstałego państwa. Lecz miasto nie spuszczać z oka tego najwyższego celu, który winien jednoczyć wszystkich, wikłają się politycy w małostkowych prawach partyjnych i stronnictwa są niejednokrotnie same sobie celem — celem wyższym od dobra ojczyzny. I tak zamiast wydać ustawę nakazującą, że każdy ma pracować nie mniej niż pewne, wysokie minimum godzin dziennie, ustanowiono, że niewolno nikomu pracować więcej nad pewne, nizkie maximum. Jakże ma prosperować kraj stosując taką metodę?

— Owoce tego mogłem tu i owdzie zaobserwować — mówi dalej pan Gurney- — Byłem w kilku urzędach i biurach wielkich firm i przyznam się, że wszędzie uderzała mnie indolencja i brak organizacji. Nawet w przedsiębiorstwach, które dawniej pracowały prawidłowo i sprawnie, coś się zepsuło.

— Mam dać przykład ilustrujący to? Otóż miałem przekaz na wielki bank warszawski. Gdy po raz pierwszy chciałem podnieść pieniądze, urzędnik szybko sprawdził podpisy, przeprowadził obliczenie i wypisał mi asygnatę, lecz gdy udałem się do kasjera, okazało się, iż nie otrzymał jeszcze asygnacji od wzmiankowanego urzędnika. Miało to trwać kilka minut. Czekałem tedy, czekałem dłużej niż pół godziny a gdy wreszcie zainterpelowałem kasjera, okazało się, iż skrypt, który powinien był dostać się do jego rąk, zarzucono i poszedł w zapomnienie. Mogłem był czekać w nieskończoność. A fakt ten wyjaskrawia ta okoliczność, że przy następnej mej wizycie w banku powtórzyło się to samo.

— Jako dawny przyjaciel Polski, chciałem postarać się w biurach rządowych o różne informacje, które pozwoliłyby mi obalić pewne niekorzystne o Polsce twierdzenia, kursujące w Anglji. Oczywiście, oczekiwałem, że każdy Polak skwapliwie przyłoży do tego rękę. Ale jaki był rezultat mych zabiegów? Wprawdzie każdy urzędnik, z jakim rozmawiałem, przyjmował mnie bardzo uprzejmie a przytem dawał mi nawet lekcję, co się tyczy różnych spraw, które znałem dokładnie, ale skoro zażądałem ścisłych informacji o jakimś specjalnym temacie, otrzymywałem tylko obietnicę, że odnośne dane odbiorę przez pocztę wkrótce. I... nie dostałem nic.

— Zbyt przyrosłem do Warszawy i Polski, aby mnie to odstręczyć miało, ale pytam się, czy wobec tego można oczekiwać, by nawet najlepsi przyjaciele Polski nie postradali wszelkiej sympatji dla Polski?...

Nie miałem na to nic do powiedzenia.

Zbliża się czas, gdy głowy posypują nam popiołem.

Może powyższe spostrzeżenia posłużą za materjał do rozmyślań postnych.

M. W.

Czyj stryj był carskim żandarmem?

Z okazji mianowania p. Szebeki drugim delegatem do Ligi Narodów jedno pismo polskie nazwało go z całą swobodą „Moskalem”, drugie „przypomniało“, że stryj p. Szebeki był „żandarmem carskim”, cały zaś szereg pism ludowcowych, krakauerskich, germanofilskich i pepsiukowatych nazwał go „moskalofilem..“

Czy stryj wielce szanownego posła i jednego z nielicznych naszych dyplomatów o europejskim prestiżu był „żandarmem” rosyjskim o tem nie wiemy i w to nie wchodzimy, jak nie wchodzimy w to n. p. w jakim stosunku pokrewieństwa do dzisiejszego Naczelnika Państwa stał pułkownik żandarmerji Piłsudski z r. 1862, który zaraz po ogłoszeniu stanu wojennego przez hr. Lamberta został dzięki swojemu okrucieństwu mianowany oberpolicmajstrem Warszawy, którego usunąć ośmielił się dopiero Margrabia, o którego łotrostwach i sadyzmach pełno szczegółów w Pamiętnikach ówczesnych (patrz prof. M. Berga: Zapiski o polskich powstaniach. Tom 4. Strona 54). Jak nie wchodzimy więc w to czy oberpolicmajster a potem uśmieritel miatieży z r. 1863 był stryjem czy dziadkiem dzisiejszego Naczelnika Państwa i czy cała antyrosyjska mentalita J. Piłsudskiego nie jest expiacją i rehabilitacją nazwiska, zohydzonego przez żandarma z r. 1863, tak również obojętnym jest szczegół czy stryj posła Szebeki był „carskim żandarmem”.

Wogóle ta bezecna metoda szkalowana od moskalofili tych wszystkich, którzy asekurowali Polskę przed teutonizmem powinna się raz już wreszcie skończyć. Jest to stary, ohydny nałóg niewolniczy trwający od lat stu przeszło. Wiemy dziś jakim szczerym i gorącym patrjotą był w epoce oberpolicmajstra Piłsudskiego arcybiskup Feliński, przyjaciel Słowackiego i powstaniec wielkopolski z r. 1848, rewolucjonista ze szramą od pałasza pruskiego na czole. A jednak i na niego wyszła w r. 1862 karykatura przedstawiająca go w kozackim mundurze w czapce baraniej na koniu z nahajką w ręce i z odpowiednim napisem. Nikt kto był wielkim w Polsce nie uniknął tego przezwiska. Każdemu tępa i głupia ciżba rzucała w twarz tą obelgę. Przedewszystkiem Kościuszce i Mickiewiczowi. Pierwszego przezwał moskalofilem J. K. Szaniawski zmarły w r. 1833 jako tajny radca rosyjski i wielu carskich orderów kawaler. Mickiewicza, zresztą istotnie bardzo zapędzającego się w swem słowianofilstwie, istnego panslawistę z epoki College de France moskalofilem przezwał Gurowski, po r. 1835 doradca i konfident księcia Radwan-Paskiewicza-Erywańskiego i również wielu rosyjskich orderów kawaler. Słowackiego i Towiańskiego stale przezywał ajentami i emissarjuszami rosyjskimi w emigracyjnych piśmidłach, radykalny gminowiec i bolszewicki warchoł Ibuś Ostrowski. Jenerałowi H. Dąbrowskiemu zarzucił zdradę

i przekupienie przez Moskwę, Michał Starzeński, na starość doradcą jenerał gubernatora Wschodniej Galicji ...Theylsa, staatski sowietnik i wielu orderów kawaler. Moskalofilstwo zarzucano: Polowi, Chodźce, Odyńcowi, Syrokomli, Kalince, Kaczkowskiemu, Lenartowiczowi, Bemowi, Matejce, Deotymie. M. Bobrzyńskiego obrzucano jajami za moskalofilskie „Dzieje Polski.” Zygmunta Krasińskiego, Bolesł. Prusa, R. Dmowskiego, napadano i bito na ulicach Warszawy, posła Zamorskiego napadnięto na ulicy raz w Krakowie raz w Warszawie i to na tej samej ulicy na której spoliczkowano wielkiego jałmużnika księdza Baudoina...

Jak więc widzimy z tego i jak każdej chwili możemy udokumentować szeroko i szczegółowo, lista moskalofilów jest duża a nazwiska w niej czcigodne. Plwani i policzkowani za moskalofilstwo byli przez kanalję pseudopatryotyczną a często przez późniejszych jurgeltników carskich mężowie często nieskazitelni. Nie wspominamy tu tuż o takich ofiarach tego obłędu jak Czartoryski, Lubecki lub Margrabia. Smutno się tylko robi na duszy, gdy się wspomni że tasama łapa degenerata która bezkarnie targnęła się na bezbronnego i wpółociemniałego starca Bolesława Prusa, tasama łapa alkoholika i awanturnika trzy lata temu wieszała na balkonie zamku warszawskiego „krasną fahnę” Międzynarodówki. Smutno się robi gdy się przypomni że szlachetnego Odyńca moskalofilem przezwał... Klaczko a zacnego Pola... Ujejski.

W naszych czasach, w ostatnich szafowanie epitetem: moskolofilstwa znów przybrało rozmiary zbyt wielkie. Za zdemaskowanie i pohamowanie belwederskiego awanturnictwa, za zapobieżenie drugiej wojnie z Rosją i uratowanie Polski przed nową inwazją bolszewicką szczególnie wiele inwektyw od niepoczytalnej, ciemnej i tępej kanalji znosić się musiały dwa pisma t. j. „Gazeta Poranna” i „Rzeczpospolita” które bez pardonu i z niezwykłą w Polsce odwagą cywilną w zarodku zgniotły błażeńskie zamysły rozwydrzonej a niedokształconej w swym fachu kliki militarystycznej.

Jak zawsze szczuł na te pisma głównie polityczny Kraków, pełen emerytowanych rozgoryczonych enkaenitów. W Warszawie rej wodził w tej nagonce szubrawy „Kurjer Poranny”, którego szczęśliwy spadkobierca i główny redaktor w r. 1914 i 1915 fraternizowali z naczalstwem rosyjskiem (Akajomow, Zatajewicz, Małyszew i t. p.) i wraz z czynownikami rosyjskimi dwukrotnie w kazionnym pociągu zmywali przed Wilhelmem... W nagonce na moskalofilów wziął też udział „Tydzień polski” p. Lednickiego, to refugium i asylum peccatorów aktywistycznych ośmielający się (organ kadieta Lerchenfeld-Liednickija) zarzucać „Rzeczypospolitej” że swymi artykułami daje sukkurs Radkowi-Sobelsohnowi. W Robotniku Perla i Szapiry stwierdzono notoryczną kooperację Endeków z... komunistami, zapominając o tem ile to kuzynków i kameradów wspól-

nej młodości siedzi tam w Ispołkomach, Wuczekach i Sowietach na Kremlu. Do tej całej nikczemnej nagonki w duchu Szaniawskich, Ostrowskich, Starzyńskich prowadzonej wtrącił też swe trzy grosze matador z prezydjum ministrów „kiczliwyj Lach" p. Giełżyński posyłając „Dwum groszom" jakąś notatkę z „Nowego Puta" rygskiego, powołującą slę na „Gazetę Poranną" i „Rzeczpospolitą"...

Drogi panie Giełżyński! Gdyby nie wyjątkowo wspaniała cywilna odwaga grupy publicystów i polityków z tych pism endeckich, karcących błazeństwa Masłowskich i Lesznobrodzkich, demaskujących igraszki z ogniem II Wydziału i trzepiących po łapach naszych „Edisonów sztabowych" i „Tiutiunnikowych" protektorów, dziś już dywizje sowieckie łączyłyby się gdzieś może z bataljonami pruskimi... a Europa z założonymi rękoma przypatrywałaby się...

Cuda nad Wisłą perjodycznie się nie powtarzają.

Całować wam po rękach „moskalofilów", że was znów uratowali" jak was ratowali przez cały wiek „moskalofile" Kościuszko, Dąbrowski, Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, Matejko i tylu, tylu innych!... i arcybiskup Feliński „kozak z nahajką" z tego roku, kiedy oberpolicmajstrem Warszawy był Piłsudski...

A. Nowaczyński.

PUSTE ORZECHY.

Ptaszki. Ptaków śpiewających (cantantes) jest moc. Od słowika i skowronka—poprzez drozda, kosa, sikorę, makolągwę i t. d., aż do gila, dudka, śmieciucha. Różne.

Mamy w ręku „Śpiewnik Żołnierski" wyszły jako 24 tomik „Bibljoteki Żołnierza Polskiego", pod redakcją śpiewaka p. Artura Oppmanną czyli Or-Ota.

Niektóre melodje:

A przed Kielcami panny z kwiatami,
Na samym przedzie Piłsudski jedzie...

Dalej:

A gdy się szczęśliwie zakończy powstanie
To pierwsza kadrowa gwardyją zostanie.
Oj dana, dana!

Gwardyją, komu, czemu, poco?
— Następnie: czytamy dwa, trzy razy:

Marsz, marsz Piłsudski,
Prowadź w boje krwawe
Pod twoim przewodem.
Osiągniemy sławę!

Czyż „legiony“ nie stać było na własnego, prawego, serdecznego, szlachetnego, oryginalnego Józefa Wybickiego, że aż uciekać się trzeba do podskrobywania marmuru historycznego? Bezpłodność?

Minnesenger p. Artur Oppmann, jak wiemy, jest znawcą i amatorem starych pamiątek, czyżby nie wiedział, jaka jest np. wartość zrobionej po żydowsku, na „modern“ antycznej minjatury?

Czyżby się już tak zestarzał, że nie wie, co robić z Muzą? No, emerytura... Ale kochankowie Bogów umierają młodo, właśnie dla tego, że obawiają się... emerytury.

I. O. Grabowski.

SZOPKA.

Kiedy w ubiegłym tygodniu prasa polska podała za New-Jew-York-Heraldem wiadomość, że Paderewski ma zamiar powrócić aż na otwarcie nowego Sejmu, bolszewizujący sjonistycznie bawoli róg posła Hirschhorna pismo „Nasz Kurjer" pomieścił pełen witzów pfeljeton swego Dawisohna czy Dutlingera czy innego I. D. pod tytułem „Powrót Taty", w którym szrajbjingełes potrzebował dla ulżenia serca wyśmiać to ogromnie dowcipnie. Bezczelny szajgec przypomina, że gdy Paderewski raz „zniżył się do najohydniejszych szumowin" (dał on poważną kwotę na założenie Dwugroszówki) to oni nie poszli wtedy na koncert jego, to wtedy „sala zaświeciła pustkami".

To kiedy on teraz przyjedzie, to on pewnie da koncert inauguracyjny, to koncert się też nie uda, bo oni też nie pójdą. I w tym tonie dalej. Pan J. D. to on pisze jak sam Pierrrot Affenszlak, to się można wyksztusić ze śmiechu jak ten witzeleben weźmie kogo na widelec. A specjalnie Paderewskiemu „nasz Pierrrot II ogromnie lubi strzępić nogawki i pokazywać język... I gdzie ruszyć jakieś pismo żydowskie czy niemieckie zawsze witze jeszcze o usuniętych w cień tych dwóch, co uratowali Polskę t. j. o Dmowskim i Paderewskim. Kopią te ośliny z naszej Szopki i z naszego Kurjera powalonych przez maffię międzynarodową lwów, kopią kopytkami maczanemi w gnoju Ghetta, a gawiedź na koszernej Szopce i gawiedź czytająca nasze Tageblatt i Pressy applauduje.

Jakże inaczej o naszym Naczelniku!

Oto nawet taki hakatysta łódzki jak dr. E. Behrens, domagający się Polski tylko w granicach Curzona jak to się miał poznać na naszym Naczelniku w „Lodzer Freie Presse":

„My Niemcy w Polsce nie upatrujemy prawdziwej wielkości naszej ojczyzny w krótkowzrocznej polityce panów z narodowej demokracji... Dlatego możemy zgodzić się albo na program Cursona, który przyznał naszemu państwu tylko wszystkie etnograficzne polskie obszary, albo też na program

Piłsudskiego, który przez utworzenie dwóch państw buforowych mógłby zapewnić kulturze zachodniej oraz politycznemu, ekonomicznemu i kulturalnemu—wpływowi Warszawy w *uczciwy* sposób olbrzymie obszary rosyjskie, aż do wrót Połtawy, Odessy, Połocka i Smoleńska".

Albo na Curzona, albo na Piłsudskiego. To jest uczciwy sposób. Nawet hakatysta gotów poprzeć linję Curzona albo federalizm Piłsudskiego skoro ino wie że ten federalizm nieszkodliwy bo na czystej fikcji oparty i z rzeczywistością na Białorusi i na Ukrainie się nie liczy...

Ale jeszcze piękniej pisał nap. „Lubliner Tagblatt" (18/III—21) w laurce na imieniny:

„Józef Piłsudski, mąż genjalny, który był jedynym, co dalekonośnym wzrokiem spostrzegł, że bez czynu nie może być mowy o wyzwoleniu Polski... My, żydzi, święcimy dzień imienin Józefa Piłsudskiego, ponieważ widzimy w nim bojownika o Polskę demokratyczno-ludową, z którą związana jezt ściśle nasza egzystencja".

Dalekonośny wzrok „Lubliner Tageblattu"... „Dalekonośne zamierzenia" małopolskiego „Czasu"...

Oj czy nie czas już na drugą Szopkę tylko nieco więcej Aryjską. W tej bowiem, w której pp. „Słonimski Tuwim et Comp" wierzgają konceptami na Paderewskiego, a którą się tak zachwycał i Naczelnik Państwa i pokurcze poranne, współwyznawcy Lubliner Tagblattu są jednak już większością. Lechoń jako trzeci współautor jest tylko tolerowany... W przyszłym roku na jego miejsce przyjdzie już Wat czy Stern...

A. N.

GAGATKI,

Streszczeniem, symbolem, uosobieniem działalności Piastowców było przed rokiem jeszcze imię: Witos, potem: Bryl, następnie: Bardel, wreszcie: Gagatek.

Witos, to tylko chytry chłop — Bryl, to już chamstwo, Bardel, geszefciarz Gagatek: nieprzebieranie w środkach.

Nr. 25 „Rzeczypospolitej" z dnia 25 b. m. ogłasza list bar. Brunickiego, zarzucający dr. Gagatkowi kradzież mebli i obawę policji ścigania Gagatka, gdyż za nim stoją „wysokie osobistości polityczno-partyjne".

Jest to drukowana ilustracja tego, co się działo w Małopolsce, gdy Witos był premjerem, Bardel ministrem rolnictwa, Rataj min. oświaty, Gałecki generalnym delegatem. Wtedy cały aparat administracyjny był na ich usługi. Wszyscy karjerowicze i szubrawcy chronili się pod opiekuńcze skrzydła zielonego sztandaru.

Pytałem się komisarza starostwa, dlaczego zapisał się do „Piastów" mimo odmiennych przekonań. Odpowiedział mi: „Inaczej nigdy starostą nie będę".

Na to samo pytanie odpowiedział mi nauczyciel w szkole ludowej: „Inaczej kierownikiem szkoły nie zostanę“. Proboszcz: ‚Inaczej kościoła zburzonego w czasie wojny mi nie odbudują“.

Dziwiłem się, dlaczego paskarzy, szmuglerów się nie karze, odpowiedziano mi przyciszonym głosem: „To Piastowcy”.

Nie, to nie są „Piasty”, to są „Gagatki”, co najwyżej „Rzepichy”. Piast, by w grobie się przewrócił, gdyby wiedział, kto pod jego imię się podszywa.

Dr. S. Ka-ski.

Cena pojedyńczego egzemplarza **40 mk.** Prenumerata kwartalne **480,** półrocznie **960,** rocznie **1920.** Zagranicą **2880.**

Ceny ogłoszeń: Za wiersz milimetrowy lub jego miejsce na II stronie— **mk. 130,** na przedostatniej **100 mk.,** na ostatniej **110 mk.,** (3 szpalty). Konto czekowe w P. K. U. Nr. 3105.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje Hurtownia pism „Oświata”, **Zgoda 5,** telefon 263-02.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: KOPERNIKA 23, II piętro, tel. 91-76.

Redaktor i wydawca: I. O. GRABOWSKI.

Godziny przyjęć: codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt.

Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.